

V-0100/4

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 110.

Przenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 2 listopada 1861 r.

Przenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Salomon Majmon (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wycieczka do Gdańska przez Deotyję (z trzema drzeworytami) ciąg dalszy. — Korrespondencya. — Dzień zaduszny. — Rebus. — Gra szachowa nowego pomysłu na 100 połowej szachownicy (z drzeworytem).

Salomon Majmon.

Rodzina Majmonów z dawien dawna zamieszkiwała w okolicach Nieświeża. Trudnili się oni sukcesywnie, jak większość ówczesnych Żydów, kramarstwem, arendą i różnemi spekulacyjkami. W tej to rodzinie urodził się Salomon Majmon 1754 r. Ojciec jego, podupadły na fortunę arendarz, opędzając się biedzie, siedział długi czas na karczmie w okolicach Nieświeża. Jako sam biegły w talmudzie i hebrajszczyźnie, usposobił w tych naukach syna, ten zaś, dzieckiem jeszcze będąc, takie czynił w wykładanych mu wiadomościach postępy, iż nastarczyć mu nie można było książek i wykładu; co widząc ojciec, oddał go na naukę do znakomitego talmudysty i prawdziwie światłego rabina w Mirze, gdzie Salomon tak się wydoskonalil we wszystkim co się tyczyło nauk zwyczajnym talmudycznym programatem objętych, iż w czternastym roku już był talmudystą skończonym. Ojciec, idąc za kierunkiem usposobieni syna, przeznaczył go do stanu nauczycielskiego, który w obyczaju żydowskim znaczy niemal tyle, co i stan duchowny; ożenił go więc bardzo wczesnie i pozostawił nadal własnemu przemysłowi.

Obok narzuconej mu nauki i obowiązków, Majmon, rozwijając się samodzielnie, spostrzegł nareszcie jak ciasnym jest kółko w którym go zamknięto. Zwrócił oczy na siebie i przekonał się, że to co ma i mieć może w tym kółku, nigdy nie zadowoli ani jego serca, ani umysłu, zdolnego przyjąć w siebie największe obszary wiedzy, aby je, jak urodzajna ziemia, oddać z procentem. Spojrzał naokoło siebie i widział ruch, postęp; widział ludzi używających wszelkich praw człowieczych i obywatelskich, i zapytał siebie: czemu to jego współwyznawcy nie idą za tym ruchem i postępem, czemu są od tych praw odsunięci? On pierwszy z Żydów polskich głęboko zabolął nad tym stosunkiem, pierwszy tę boleść objawił i pierwszy zapragnął zmiany. Z ciemnego zakątka w jakim się ukrywał, już okiem mędrca mierzył odległość jaka oddzielała Żydów od klasy panującej i obrachowywał środki zbliżenia. Marzenie entuzjastycznego młodzieńca miarkując zimnym rozsądkiem, widział iż przepaść tę nie łatwo zapelnąć, niemniej

jednak czuł potrzebę stawienia pierwszego kroku. Za najskuteczniejszy środek prowadzący do tego celu Majmon uważał naukę, nie tę naukę zacieszniową w karczach talmudycznych, którą współwyznawcy jego poczytywali za szczyt mądrości ziemskiej, ale naukę bez granic, jaką wzięła sobie za cel cywilizacya europejska. W tej myśli Majmon zaczął od siebie, aby dać przykład, zachętę i pomoc.

Ależ od chęci do skutku było bardzo daleko. Ży-

jego pożądał. Aby uczynić zadosyć potrzebom dziennym, przyjmował po takich nędzarzach jak i sam obowiązki domowego nauczyciela; życie jego wlokło się po brudnych karczmach arendarzy, wśród ludzi najnędzniejszej kultury umysłowej; całą wycieczką w świat lepszy były jego samotne marzenia i obcowanie z dziełami Majmonidesa, sławnego filozofa żydowskiego z wieków średnich. Temu głównie zawdzięczał on ukształcenie wyższe i popęd do wielkiego działania. Od szlachty polskiej nie mógł też spodziewać się poparcia. Ktoby go zrozumiał, ktoby podzielił jego poglądy w przyszłość? To co go otaczało na miejscu, w dobrach radziwiłłowskich, nie mogło w nim najmniejszego budzić zaufania; wieści reform naukowych z Wilna i Krakowa do uszu jego nie dochodziły; w każdym razie stan kraju nie był takim, aby ktokolwiekby zrozumiał nędznego Żyda, któryby się odeń dopraszał światła i braterstwa. Majmon widział przed sobą tylko uczy, junakierę i swawole, uosobistnione w Radziwille i jego towarzyszach, i nad takimi to objawami życia narodowego gorzko on ubolewa w swych pismach, smutne wydając proctwo. Słowem, nie przewidując Majmon dla siebie pomocy ani u Żydów, ani u szlachty, z powodów przesądu obu stronom właściwego, postanowił, bądź co bądź, szukać dla siebie oświaty za granicą.

W dwudziestym piątym roku życia, po dziewięciu latach pożycia małżeńskiego, zostawił Majmon żonę i dziecko, porzucił kraj ojczysty i idąc za nakazującym popędem, udał się na zachód Europy, nie troszcząc się bynajmniej o środki materialne do odbycia podróży i opędzenia kosztów pobytu. Pierwszą jego stacją za granicami ówczesnej Polski było polskie niegdyś miasto, Królewiec. Tam odkrywając swe zamiary młodzieży uniwersyteckiej, otrzymał wskazówkę udania się do Berlina, gdzie nauki filozoficzne, do których miał najsilniejszą skłonność, były najwięcej uprawiane, gdzie wreszcie przebywał współwyznawca jego, znakomity filozof Mendelson. Bez względu na brak funduszu i nawet odzieży, biegł młody zapaleniec do źródła mądrości; po niesłychanych trudach przywlokł się na wpół żywy pod bramy Berlina, aż u samego wniścia natknął na nieprzełamaną przeszkodę w pewnym rygorze policyjnym, który Żydom nie mogącym się wylegitymować ze sposobu utrzymania, tamował wstęp do stolicy Brandeburgii. Odepchnięty, porzucony pod drzwiami domu przytułku, który dlań zamknięto, byłby może skonał z rozpacz i głodu na tej gościnniej ziemi, gdyby go nie



SALOMON MAJMON. (Bysował Buszar, podług spóczesnej ryciny).

dzi byli naówczas narodem w narodzie, a on w tym narodzie nader mało znaczącą jednostką. Skrepowany stosunkami familijnymi, nędzą materyjalną, nie znający żadnego języka prócz hebrajskiego i tej potwornej amalgamy dźwięków, któremi się porozumiewa u nas pospólstwo żydowskie, — Majmon nie mógł w ojczyźnie dojść do żadnej szkoły, do żadnej biblioteki, do żadnych studyów, jakich swobodny i rozległy umysł

uratował przechodzący żebrak, ziomek, Żyd polski. Ten podniósł go z ziemi, wziął go na swój fundusz żebraczy i doprowadził do Poznania. Tu przyjęto go tak, jak to zwyczajnie przyjmują ludzi w Polsce, otwartym sercem i dobroczynną ręką. Wkrótce zdolności jego i nauka stały się głośnie w mieście i zjednały mu bardzo korzystne miejsce nauczyciela domowego u jednego bogatego izraelity. Kilkoletni pobyt w Poznaniu, spokojny i wygodny, ułatwił mu i własne ukształcenie i sposobność korzystnego wpływu na umysły współwyznawców.

Majmon, kształcąc siebie i drugich, opływając w wygodach, był tak szczęśliwym w Poznaniu, że gdyby był człowiekiem pospolitym, nie zapragnąłby nigdy innego szczęścia. Ale dla niego nie mogło ono wystarczyć: czuł Majmon że tam, o ścianę, wrą wielkie kwestye nauki i życia; odetchnawszy więc chwilę, niecierpliwie pragnął rzucić się w ten wir, aby dać ujście wewnętrznym siłom, które tajemnie w nim nurtowały. Z rozrzewnieniem tedy pożegnawszy przyjaciół poznajskich, udał się drugim powrotem do Berlina, i pod tarczą przyzwoitego decorum zdołał do wnętrza jego przeniknąć. Osiedlwszy się tam, i to nie bez pewnych trudności ze strony żydowskiej policji, wziął się z całym zapalem do prac naukowych na polu filozoficznem. Rozprawa w języku hebrajskim o metafizyce Wolfa i druga, teologiczna, krytykująca Majmonidesa, zwróciły nań uwagę berlińskiego filozofa Mendelsohna, który nie omieszkiał poznać go z całym uczonym światem i udzielił mu wszelkiej pomocy naukowej, ułatwiając stosunki i otwierając biblioteki. Odtąd też imię Majmona zaczyna wychodzić na jaw, a prace wzbudzają coraz więcej zajęcia w filozoficznym świecie: stanowisko zdobyte talentem i pracą, umacnia się coraz bardziej i wzrasta.

Co Majmon zamierzył działać i w jakim duchu działał na tym stanowisku, okażemy tu w summarycznym opisie, ramy bowiem naszego Tygodnika nie pozwalają nam zaciekać się w techniczną stronę jego prac filozoficznych i teologicznych. Przedmiot ten wkrótce rozwinie my obszerniej w odpowiedniejszym piśmie peryodycznym.

Na zajętem stanowisku Majmon w szesnastoletnim zakresie działań swoich objawia się nam w potrójnym charakterze: jako Żyd, jako Polak, jako filozof. Przeciwno czemu szmerze dzisiaj cała klasa ukształconych izraelitów, to właśnie poczuwał wówczas Majmon, jedyny może wśród całej żydowskiej ludności w Polsce. Oddzielenie się Żydów od reszty społeczności, nędzny udział w życiu publicznem, zaskorupienie w stagnacji, obok przyczyn z położenia politycznego wynikających, miały, według niego, główne źródło w przesądach, zabobonach i dziwactwach odkrytych pozorami religijności, te zaś wynikały z systemu wychowania talmudycznego i ustaw rabinicznych, popieranym przez rabinów wyzyskujących łatwowierność mass już to w dobrej wierze, już dla korzyści własnej. Majmon, jako człowiek wyższy, patrzący na rzeczy po ludzku, to jest z całą swobodą, miał ideę równouprawnienia, ale do urczywistnienia jej nie chciał dochodzić ani pokłonami, ani zebranią; pragnął owszem, aby Żydzi sami, odznaczeniem się, przyjęciem form powszechnych, gotowością i uzdolnieniem do prac wspólnych, zwrócili uwagę narodu i wypracowali sobie odpowiednie w nim miejsce, z którego upomnieć się o równouprawnienie byłoby już tylko rzeczą formy. Ponieważ zaś rabinizm i samą ideą i tysiącem drobnych skrupułów stawał nieprzyjacielem względem ogółu i tym sposobem stanowił nieprzebytą przeszkodę w powyższym kierunku, przeto ziomek nasz izraelski wypowiedział mu odrazu wojnę nieubłaganą, którą zapewne i życiem przypłacił. Pismem, słowem i czynem ścigał go wszędzie; ztąd następowało zadrażnienie mnóstwa spetryfikowanych pojęć i indywidualnych ambicji, z czym szły przesładowania, gorycze i nieprzyjemności wszelkiego rodzaju. Nieraz naraził się tak, że uciekać musiał z miasta do miasta; ale doznana gorycz lub obelga nie wytrącała mu broni z ręki ani usypiała energii; zaledwie gdzieś raniony, w innem miejscu ponawiał napad. Jedni przesładowali go wprawdzie, ale drudzy zastanawiali się i idea racjonalna przezeń szła wolno coraz dalej. To go pocieszało i dodawało mu odwagi, która rzeczywiście jest w nim do podziwienia: tacy też tylko ludzie zdolni są poruszyć massy przyrosłe do jednego miejsca. Walcząc za stanowisko cywilizacyjne zdobyte przez świat chrześcijański, Majmon tém czystszy i bezinteresowniejszym jest jako reformator Żydów, że wytrwał niezłomnie w zasadach wiary ojcowskiej, lubo przeciwnicy kamienowali go jako apostata. Na mniejszą skalę powtórzyła się z nim historia Akosty i Spinozy; nie brakło nawet przekleństwa, choć *en petit comité* wyrzuczonego przez wrocławskiego rabinę. Maluczcy ludzie, rabini gminowi, nie pojmowali

tego, że on, gdyby chciał chodzić po tych samych drogach, to przy swoim rozumie byłby ich wszystkich w kozi róg zapędził; ale jemu właśnie nie chodziło ani o sztuczną powagę, ani o popularność u głupich, ani o monopol; on pragnął dobra ogólnego, a o sobie myślał tylko wtedy, gdy mu ostatnia bięda doskwierać zaczęła.

Lubo oddalony od kraju, sercem jednak i myślą przyszedł do niego, i niedosyć że się wszędzie i zawsze pisał „rodzonym Polakiem“, ale sprawdzał to czynem. Przy zdarzonej sposobności tak zainteresował zamożniejszych Żydów berlińskich do ich współwyznawców w Polsce, że ci powierzyli mu ułożenie projektu wydawania książek edukacyjnych, obrachowanych wprost na podniesienie oświaty żydostwa polskiego, i książki te, wydrukowane kosztem stowarzyszonych, miały się przesyłać bezpłatnie. Majmon, ażeby na początek nie zadrażnić wkorzeniałych zasad, postanowił obejść wszystko, coby w wykładzie potrącało o uczucia religijne, i przedsięwziął systematyczne to kształcenie rozpoczynając od matematyki i nauk przyrodzonych, o których zwyczajna edukacja rabiniczna nie dawała najmniejszego wyobrażenia. Z takiej szkoły wychodzący młodzieniec (a było to rzeczą powszechną), oprócz rozumienia, i to bardzo samowolnie, pisma świętego, nie umiał nic, coby go stawiło w związku ze społeczną cywilizacją, z życiem europejskiem. Wypracował więc Majmon, według najlepszych wzorów ówczesnych, kilka dzieł w tym przedmiocie w języku hebrajskim, jako jedynym przystępnym dla Żydów polskich; ale podobno wydawnictwo, dla wysokiego kosztu, nie przyszło do skutku, i niewiadomo jaki obrót ta rzecz wzięła i co się stało z rękopismami. Wspominamy jednak o tém na dowód, jakimi chęciami Majmon ożywionym był dla kraju i jak dobrze pojmował jego z tej strony potrzebę.

Najwyższą jednak sławę Majmona, a zarazem chlubę naszą, stanowią jego prace filozoficzne. Jako filozof przebiegał on długo w różnych systematach, zapalał się do każdego, który odsłonił mu część prawdy lub drogę do niej wskazał, w końcu jednak samodzielność swoją osadził na kantowskim gruncie i na nim dotrwał. Ztąd też historia filozofii zalicza go do szkoły Kanta, nie pomijając i tego, co do niej wniósł z własnego umysłu. Za krótko żył Majmon życiem filozoficznem, aby mógł stanowczy i organicznie przeprowadzić system; wiele jednak objaśnił, uzupełnił, sprostował, tak iż działalność jego nie obyła się bez wpływu na naukę; historycy filozofii naznaczają mu stanowisko znakomite, pośredniczące pomiędzy Kantem i Fichtem. Pod względem tedy ważności działania naukowego, Majmon znajduje się na przestrzeni oddzielającej filozoficznego pisarza od twórcy systematu, a porównyując go z dzisiejszemi naszymi filozofami, z uwagi na znaczenie prac; postawilibyśmy go obok Cieszkowskiego, który tém jest względem Hegla, czém Majmon był w stosunku do Kanta: samodzielnym i postępowym uczniem. Szesnaście lat pracy, i to rozrywanej, nie jest to wiele, jak na obszar filozoficznej wiedzy. Przez ten czas Majmon pisał bardzo dużo. Rozprawami, szczególnie w zakresie metafizyki, głęboko pomyślanemi, zasilał wszystkie ówczesne dzienniki niemieckie specjalnie naukom filozoficznym poświęcone, o jego współpracownictwo dobijali się redaktorowi. Oprócz tego znajdują się cztery jego obszerne dzieła: Komentarz nad systematem Majmonidesa zwanym More-Nabuchim; Filozofia transcendentálna; Nowa logika i Słownik filozoficzny. Najważniejszą i najbardziej pod względem naukowym wpływową jest Nowa logika, której elementa weszły w skład pierwotnych prac Fichtego.

Filozofia transcendentálna powstała z „Krytyki czystego rozumu“ Kanta. Kiedy wielki filozof królewiecki wydał to swoje wiekopomne dzieło, Majmon, zachwycony jego potęgą, nie przeoczył jednak słabych jego stron, uchybień i widoków z jego osobistym poglądem niezgodnych. Według więc tego samego szematu swoje własne nakreślił pomysły, które były niejako krytyką pierwowzoru, i chcąc się przekonać o wartości swej pracy, za pośrednictwem przyjaciela posłał ją w rękopiśmie do przejrzenia samemu Kantowi. Odpowiedź jaką o niej udzielił Kant w liście do osoby pośredniczącej, najlepiej określa naukową tego dzieła wartość. „Byłem już przez pół zdecydowany, pisać między innymi Kant, (dla braku czasu) zwrócić rękopis (nieprzeczytany), ale jeden rzut oka odkrył mi od razu dzielność tej pracy i przekonał zarazem, że żaden z moich przeciwników nie tylko głównej mojej myśli nie ujął tak dobrze jak p. Majmon, ale ma to który posiada tę przenikliwość, coby mu ułatwiła drogę do tak głębokich poszukiwań. To więc zachęciło mnie do pilnego odczytania rękopisu. Dzieło pana Majmona zawiera tyle genialnych spostrzeżeń, że wydanie go na widok publiczny jaknajświeżniej, są-

dzę, może zalecić autora.“ Na tej pierwszej pracy rozległych widoków, Majmon budował wiele, zwłaszcza podniesiony tak przychylnem zdaniem niemieckiego mistrza. We wszystkiem szukając korzyści nie swojej ale współziomków, chciał i tę pracę na ich korzyść obrócić; dedykował ją więc, jako syn Polski, królowi swemu, Stanisławowi Augustowi, a w dedykacji zamieścił całkowitą petycję, mającą na celu zwrócenie uwagi rządu na stan Żydów w Polsce, zachęcającą do nadania im rozleglejszych praw, podniesienia oświaty i upożytecznienia zdolności na korzyść kraju. Sądził Majmon, że przemawiając z wysokości swego stanowiska naukowego, łatwiej będzie wysłuchanym i pojętym. Zaniósł więc egzemplarz drukowany do rezydenta Rzeczypospolitej polskiej w Berlinie, pan rezydent obiecał przestać go monarsze, ale obietnicy nie dotrzymał, i tak na niczém spelzło usiłowanie zacnego rodaka.

Wszystkie prace Majmona pisane są w języku niemieckim, jedynym którym jakkolwiek władał nasz filozof. Sądząc go przeto zewnętrznie, to jest z mowy, z kierunku naukowego, z form nawet towarzyskich, mógłby go ktoś śmiało poczytać za Niemca; inaczej jednak będzie, jeśli zajrzemy do głębi jego ducha, który wiecznie tęskni za ojczystą ziemią, o niej myśli przy każdej czynności, dla jej pożytku i sławy ponosi ofiary, cierpi dobrowolne wygnanie, i jakby zazdrośny o swą narodowość, przy każdej sposobności powołuje się na nią, czego, nawiasem mówiąc, najprzychylniejsi dlań uczeni niemieccy darować mu nie mogą. Ten Nieśwież, do którego Majmon częste czyni zwroty w swojej autobiografii, bardzo im się nie podobają, i może dlatego przezywają go Neuschwitz. Raz wydalwszy się z ojczyzny, Majmon już do niej trafić nie mógł; umarł w dobrach przyjaciela swego i mecenasa, hrabiego Kalkreita na Szląsku, pod koniec 1800 roku, mając lat czterdzieści sześć: talmudyści i po śmierci nie dali mu pokoju, zakłócając pogrzeb.

Dnia 31 lipca 1821 roku b. uniwersytet warszawski obchodził doroczny akt uroczysty: akt ten poświęcony był pomiędzy innymi uczczeniu pamięci uczonych mężów, a mianowicie Polaków. Posiedzenie publiczne, jak wskazuje drukowany program, zagaił czełgodny ks. rektor Szwejkowski temi słowy: „Dzień dzisiejszy, w którym składamy dziękczynienie Opatrzności, że nam raczyła błogostawić całoroczne prace, przeznaczone jest oraz na uczczenie pamięci sławnych nauk mężów, a mianowicie rodaków. Lubo rzecz sama łatwo domysł nastrocza, co było powodem do takowego ustanowienia, z tém wszystkiem przy pierwszym obchodzie tej uroczystości poczytaliśmy za obowiązek urzędu naszego zwrócić uwagę młodzieży na ważność tego zamiaru, przez okazanie korzyści, jakie z wiadomości o ludziach niepospolitych, o ludziach różnym rodzajem nauk wstawionych, odnieść możemy i t. d.“ W myśl tej zapowiedzi professor prawa, Urmowski, odczytał: „Rzecz o Salomonie Majmonie, filozofie polskim“, zwracając w niej głównie uwagę młodzieży na wielką miłość tego człowieka do nauki, na jego zapał, który nie uląkł się żadnych ofiar, żadnych przesładowań, goniąc za wzniosłym celem. Od tego czasu imię naszego filozofa zatoneło.

Po czterdziestu latach głuchej obojętności, my znowu podnosząc to imię, ozdabiamy pismo nasze wizerunkiem zacnego ziomeka, a kraj chętnie zapewne powita w galerii narodowych znakomości postać uczonego, który z tegoż samego co i Berek Joselowicz wyszedłszy plemienia, życiem i pracą chlubę przyniósł ojczyźnie. *Kazimierz Kuszewski.*

Kronika tygodniowa.

Ile razy w sprawozdaniach naszych przyjdzie nam wspomnieć o piśmiennictwie i jego ruchu, zwykle rozpoczynamy peryód od słów stereotypowych: w wydawnictwie zupełna panuje stagnacya.

Jesteśmy pewni iż czytelnicy z niesmakiem spotykali się z tym nudnym frazesem; wszelako z obowiązku naszego nie mogliśmy nic innego pisać, jak tylko prawdę. Raz jednak zastanowić się wypada nad tém, z kąd owa stagnacya pochodzi. Wydawcy i księgarze przypisują ją obojętności publiczności, dziennikarze małej stusunkowo liczbie czytających, wielu z tych ostatnich narzeka znow iż niema co czytać. Otóż myniemy że wszyscy po części mają słusność.

Kiedy sprawa jaka ważna ogarnie umysły, niezawodnie piśmiennictwo znajduje się w położeniu chwilowo niekorzystnym, do niego wszakże należy wy dobyć się własnymi siłami z tego stanu zapomnienia. Dziś dzienniki polityczne skupiły około siebie całe za-

zatepy czytelników, pisma literackie liczą ich mniej, książki zostają prawie w zupełnym zaniedbaniu. Zaniedbania tego nie można jednak przypisywać całowitemu zubożeniu publicznosci, ale brakowi dzieł któreby w jej smak trafić umiały. Wśród huku tylko dział i wrzawy wojennej trwożliwe Muzy chronią się przed Marssem, ale w każdej innej okoliczności dzieło napisane jędrnie, z sumiennoscia i prawdą, potrafi zająć czytających.

Związek ciała z duchem jest tak ścisłym, że prawa odnoszące się do jednego, mogą być zastosowane i do drugiego.

Żołądek, długie lata karmiony słodyczami, choć do nich nawykł, zepsuje się w końcu i z utęsknieniem wyglądać będzie pokarmów zdrowszych, chociażby korzennych, a nawet gorzkich; najwytworniejsze, cliwe przysmaki z obrzydzeniem odrzuci.

Umysł znudzony cklivemi, wodnistemi utworami, zbrzydzi je sobie wreszcie i zapragnie myśli zdrowych, choćby gorzką zaprawnych prawdą.

Weźmy na uwagę powieścio-pisarstwo.

Niedawna to jeszcze epoka, kiedy wyjąwszy kilku dzieł znakomitszych pisarzy, publiczność karmiono nudnemi i cklivemi powieściami, roztkliwiając się w nich nad drobnouchnemi sprawami codziennych spraw życia, zastanowienia niegodnych. Materyalizm i zniewieścialsłość zapanowały w tych utworach, rozwieliżniła się w nich płacziwa pobłażliwość dla wad ludzkich; w salonach, na woskowanych posadzkach, wyfracteni i wyperfumowani bohaterowie, podobni do lalek cukrowych oblanych wodą kolońską, prześcigali się w popelnianiu niedorzeczności, pokrytych wypłowiałą sukienką elegancyi. Zielony stolik, budoar baletniczki, lub sala lwicy, oto szranki w których walęsała się przez kilka tomów intryga.

Zdawało się że twórcy sami, pozbawieni energii, poglądając ze smutkiem na szerzące się dokoła zepsucie i zgniliznę, nie śmieli gromko przeciw niej wystąpić, nie odważali się przyłożeniem rozżarzonego żelaza od razu wypalić ten polipowy narost, nurtujący coraz głębiej społeczeństwo.

W przeświadczeniu że świata nie można poprawić, z politowaniem zapatrywali się na ułomność ludzką i usiłowali ją tłumaczyć występki i niegodziwości. Na wszystko znalazła się wymówka.

Niedziw więc że czytająca publiczność straciła po części wiarę i zaufanie do pojawiających się publikacji, niedziw że piszący utracili część wpływu jaki powinni wywierać na umysł i serca współzomków, a przewrotni i egoiści, patrząc na ich mdłe utwory i ciągle a zacięte pomiędzy sobą walki, uśmiechali się, szydząc z gasnącego ognia w świątyni wiedzy narodowej.

Nadeszła przecież chwila zbawionego zwrotu: od kilku lat usiłowania znacznych ludzi potrafiły podnieść chromające piśmiennictwo i na nawo rozbudzić jego godność. Nie odzyskało ono jeszcze tego wpływu jaki mu się należy, ale odzyskać go może, jeżeli zbada gruntownie potrzeby społeczeństwa swego i na jego usługi siły swoje wyłącznie poświęci; jeżeli powołania swego nie będzie uważać za przyjemną rozrywkę lub środek ciągnięcia zysków, ale jako święty względem narodu obowiązek, który wypełniać należy z głębokim przekonaniem, sumiennoscia i prawdą.

Pobłażliwość dla wad, chwiejność w zdaniu, schlebienie chwilowemu gustowi, miotanie na współzomków obelg, szepczenie jakichkolwiek mniemań błędnych, raz na zawsze ustąpić powinno z pism naszych; publiczność pozna się na tym szychu, pragnącym uchościć za złoto, i odepchnie go ze wzgardą. Cnota w życiu prywatnym pisarza powinna iść na równi z głoszonemi przez niego zasadami; najmniejsza wada nie powinna rzucać cienia na jego postępowanie; sumiennosc tylko i przekonanie powinny kierować jego piórem. Kapłan wtędy zyskuje miłość i zaufanie wiernych, gdy widzą że w prawdy które głosi, sam wierzy, że przepisy moralności które wykonywać nakazuje, sam wykonywa.

Piśmiennictwo wielkie ma zadanie i wielkie postugi przynieść krajowi może; popierać je więc i zachęcać należy. Wiemy że są chwile, w których trudno wymagać aby publiczność niemię się zajmowała; przecież nigdy go lekceważyć nie należy.

Stagnacją obecną uważamy za stanowcze przejście do innego życia. Dawne zapatrywanie się na społeczeństwo już dziś niepraktyczne, zapaśnicy pióra gotują się zapewne wystąpić w innej jak dotąd formie; ale jeszcze zapasy nieuprządkowane, myśl niewyrobona, zdania nieprzetrawione; wielu nie rozpoznaje jeszcze drogi jaką iść zamierzają, chociaż, jak owe niewiasty ewangeliczne, winni byli mieć przygotowane lampy, gdy ich oblubieniec wezwie.

Ale pomimo to silnie przekonani jesteśmy, że droga na którą wstępuje piśmiennictwo nasze wiedzie

do dobrego i że nią tylko iść należy. Przy chęci i wytrwałości z każdym krokiem zwiększy się liczba ludzi znacznych, bojujących za prawdę i otrząśnienie się z gnuśnego, wygodnego wegetowania, a starających się o wzbudzenie zachęty do pracy, oświaty i ogólnej poprawy.

Daj Boże aby gorące te chęci przeszły jaknajprędzej w czyn, a gdy ukaza się owoce pracy, godne narodu dla którego ją podjęto, wierzymy iż rozbudzi się zamiłowanie silniejsze jak kiedykolwiekbądź do piśmiennictwa krajowego i przyszły kronikarz nie będzie zmuszony powtarzać w swych zapiskach, że *w wydawnictwie naszym zupełna panuje stagnacja*.

W prowadzonej u nas polemice pomiędzy pismami, rzadko spór toczy się poważnie i z godnością, a często męszą się do niego niepotrzebny sarkazm, który nieznanymi artykułami strony przeciwnej mógłby w błąd wprowadzić i obudzić w nich niechęć zarówno do redakcyi, jak i do współpracownika o którego artykuł rzecz chodzi.

Doświadczyliśmy właśnie tej przykrości, czytając w Nr. 253 Gazety Polskiej wystąpienie nieznanego autora przeciwko artykułowi zamieszczonemu w 98 numerze naszego pisma: *Od czego ma się kształcić ludu naszego zaczynać?*

Przytoczono tam iż autor powyższej rozprawki powiada, że nie szkodzi jeżeli nauczyciel jest pijakiem, bo i lud pije. Słów tych, pomimo najtroskliwszego odczytania, nikt pewnie nie znajdzie w rzeczonym artykule.

Autor artykułu naszego twierdzi, iż przy obecnie uczutęj potrzebie kształcenia ludu, a trudności dostania dobrych nauczycieli, lepiej brać jakichbądź, aniżeli żadnych; mniema więc że strowsze wymagania co do uzdolnienia i konduity ustąpić muszą konieczności użycia tego co jest pod ręką; że obyczajność naszego ludu na tym jest jeszcze stopniu, iż tylko kradzież, oszustwo i bezbożność są mu wstrętne; inne zaś przywary i wady nie rażą jego sumienia; że wreszcie nauczyciel wychodzący niepewnym krokiem z karczmy, nie zgorzyszy dziś jeszcze wiejskiego chłopięcia, bo podochocił sobie zapewne w kompanii z ojcem jego lub krewnym. W końcu jednak autor wyraźnie dodaje, że gdzie wstrzeźliwość jest środkiem ludności praktykowaną, tam ją koniecznie zachować winien i nauczyciel.

Nieprawdziwe cytacje słów cudzych nie powinny mieć miejsca, bo uwłaczają przytaczającemu, a narazają na sąd mylny tego, któremu są przypisane. Zresztą gdyby autor odpowiedzi chciał przedmiot dokładniej i sumiennie osądzić, nietylko by cały ów artykuł przeszedł uważnie i przytoczył co na usprawiedliwienie założenia powiedziano, ale nie pominąłby i artykułu drugiego: *Zkąd brać na początek nauczycieli elementarnych?* zamieszczonemu w nrze 107 naszego pisma, w którym kwestyją powyższą redakcyja starała się w sposób wyczerpujący rozstrzygnąć.

Przygotowania do wydawnictwa *Biblioteki technicznej dla rzemieślników polskich* postępują ciągle. Bardzo radzi jesteśmy tej publikacji, do szczegółowych bowiem korzyści jakie z niej odniosą rzemieślnicy i ta ważna przybywa, iż za pośrednictwem tej biblioteki ustali się u nas wyrazownictwo (*nomenklatura*) rzemieślniczych. Wiadomo że wszystkie narzędzia rękodzielnicze mają po większej części nazwiska niemieckie; oprócz siekiery, piły, świdra, same tam cudzoziemskie nazwy. Czesi otrząśnili się już z tej obczyzny; tam zaden uczeń nie zostanie czeladnikiem, dopóki jaknajdokładniej nie pozna wszystkich nazwisk narzędzi w języku ojczystym. Język nasz wcale nie jest uboższym od czeskiego, a jeżeli nas pobratymcy na tej pięknej wyprzedzili drodze, to stoi ona otworem i możemy ich jeszcze doścignąć.

W tym względzie najskuteczniej działaćby mogli panowie majstrowie. W każdej pracowni niechby zawieszoną była tablica obejmująca nazwy polskie obok niemieckich; pracujący obowiązani by byli wyuczyć się tych nazwisk i ich wyłącznie używać. Po trzech miesiącach należałoby przybić pod ową tablicą skarbone, a kto by umyślnie lub przez zapomnienie użył nazwy cudzoziemskiej, płaciłby do skarbone dwa lub trzy grosze kary. Fundusz ztąd zebrany, stosownie do potrzeby, mógłby być użytym na założenie lub pomnożenie kasy pożyczkowej, na biblioteczkę warsztatową i t. p.

Zapewne trudno projekt ten wprowadzić w życie, bo u nas każda nowość niełatwo się szczepi, a potem wielu jest pośród nas panów majstrów cudzoziemskiego pochodzenia, którymby trudno było na starość odzwyczajając się od nazwisk narzędzi przez całe życie używanych. Wszelako chcącemu niema nic trudnego; zacznijmy tylko, a pójdziemy dalej i przyjdzie nam to łatwo, jeżeli pomyślimy że tu idzie o za-

chowanie czystości mowy rodzinnej; panowie zaś majstrowie rodem cudzoziemcy, chętnie zapewne przychylią się do życzeń nowej swej ojczyzny i swą dobrą wolą przekonac nas potrafią, żeśmy nie próżno odwołali się do ich wyrozumienia.

Niezbyt dawno zajmowano się żywo sporem, gdzie należałoby umieścić most żyzwowy warszawski, skoro budowa stałego ukończoną zostanie. Proponowano w tym celu N. Aleksandryę; wszelako słusznie bardzo Gazeta Warszawska zwróciła uwagę na kosztą jakich utrzymanie mostu żyzwowego wymaga. Wiadomo iż kosztą te pokryć tylko może opłata mostowego, a na to potrzeba znacznego ruchu, tak co do przewozu towarów, jako też i przejazdu osób.

Jakkolwiek most w N. Aleksandryi, łącząc Lubelskie z Warszawskiem i Sandomierskiem, byłby wielce pożytecznym, wszelako nie dostarczyłby tak odpowiednich dochodów, jakich dostarczyć może, jeżeli zostanie umieszczonym pod Włocławkiem.

Kolej przebiegająca tędy z Warszawy do Bydgoszczy, z stacją pierwszego rzędu, krzyżuje się z żegluga wiślaną. Włocławek ma 10,000 ludności i jest jedynym ogniskiem handlu zbożowego; tu może być główny punkt przeprawy dla całej okolicy zawisłańskiej, dla mieszkańców Rypińskiego, Dobrzyńskiego, Lipniskiego a nawet Płockiego (bo każdy podróżny z pod Płocka chętnie zboczy 5 mil do Włocławka dla podróży koleją żelazną, zamiast pojechać 18 mil kołami).

Gdyby jeszcze ukończono bity gościniec z Lipna do Włocławka, trzech mil długości, to ruch handlowy i komunikacyjny całej niemal gubernii płockiej skoncentrowałby się w Włocławku, miejscu pocztowym, mającym stacyą kolei żelaznej, a będącym tak blisko granicy.

Mostowe pokryłoby dostatecznie kosztą utrzymania mostu, bo dzierżawca przewozu dziś, po zaspokojeniu kosztów jego utrzymania, wnosi do kasy miejskiej 8000 złp. Zwrócić przytęm należy uwagę, że opłata za przewóz, jako połączony z wielką niedogodnością dla podróżnych, jest dosyć niską, kiedy za przejazd mostem każdy chętnie więcej zapłaci, bo tu nie jest kępowany ani porą dnia, ani objętością transportu, ani ilością furmanek. Wreszcie i miasto zapewne przyłoży się chętnie do kosztów utrzymania mostu, bo choćby tylko przez to powiększyły się dochody konsumcyjne, jużby i to niemało przyniosło korzyści. Zdaniem więc naszym. most żyzwowy warszawski najstosowniej byłoby posunąć pod Płock, płocki zaś pod Włocławek.

W wtorkowym numerze Kuryera Warszawskiego zarzucają nam, iż bez świadomości stanu rzeczy skrytykowaliśmy budowę szpitala Świętego ducha. Przeciwno budowie nie mogliśmy nie niekorzystnego napisać i nie napisaliśmy, nie znając jej urzadzania. Nie zaprzeczamy że to ostatnie może być wzorowem; utyskiwaliśmy tylko na niestosowny wybór miejsca na szpital w środku miasta, w ścieśnionej ulicy, i to raz jeszcze powtarzamy; wszędzie bowiem starają się o umieszczenie szpitalów zdala od innych zabudowań, gdyż wyziewy chorobliwe zarażają powietrze i zgubnie wpływają na stan zdrowia mieszkańców sąsiednich. Ze publiczność z tego samego punktu ten przedmiot uważa, niech za dowód posłuży ta okoliczność, iż we wszystkich niemal domach przyległych szpitalom, cena pomieszkań spada, bo lokatorowie wynoszą się z sąsiedztwa, a niema ochotników do zajęcia ich miejsca.

Oddawna uczuwać się dawał wielki brak geografii nieco obszerniejszej. Znana geografia Steina już oddawna wyczerpana, a przytęm zestarzała się, granice państw zmienione, i przedruk jej dziś byłby niepożytecznym. Z kilku drobniejszych geografij wydanych w ostatnich latach, żadna nie odpowiadała zadaniu, gdyż pominąwszy ich szczupłość i niedokładność, wkradły się tam tak rażące błędy, iż nauczyciel sumienny nie mógł ich uczniom swym dawać w ręce.

Brakowi temu po części zaradził p. A. Lewiński księgarz tutejszy, wydając „Geografią powszechną dla młodzieży.“ Nie jest to dzieło wyczerpujące wszystkie potrzeby, ale jak dla młodzieży uczącej się dostateczne. Królestwo polskie dość obszernie opisane, mniej dobrze sąsiednia Galicya, a najmniej dokładnie w. ks. poznańskie; przy powtórnem więc wydaniu należałoby zwrócić na to większą uwagę. W opisie pojedynczych krajów nie należałoby pomijać stopni geograficznych i dodać tam gdzie niema rozległość w milach kwadratowych. Zresztą w kronice naszej nie miejsce na wykazanie szczegółowych zalet lub usterków takiej pracy; dziełko jednak w ogóle, jako podręczne i niedrogie, zasługuje na upowszechnienie.

WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

Deotymę.

(Dalszy ciąg.)

Gdańsk.

Gdańsk! Kiedy sultan Mohammed IV wyprawiał się do Polski, przy ucztach, wśród łowów, nawet, przez sen wołał: „Gdańsk! Gdańsk!...“ To miasto było celem namiętnym jego życzeń, kresem jego marzeń; chciał jedną ręką z morza Czerwonego czerpać perły, drugą z Bałtyku bursztyny. I ja zdawna jak ów sultan marząc o Gdańsku, jak on jechałam w zamiarze zaboru, ale jedynie duchowego. Poeta, co tylko widzi, to myśla podbija, to przyłącza do wielkiego państwa swoich wrażeń; szczęściem że taki zabór, niepodobny do tureckich ni tatarskich, lez nie wyciska, wdów ani sierot nie zostawia, i cała walka i całe zwycięstwo odbywa się tylko w duszy wodza-spiewaka.

Wyobrazcie sobie zatem niecierpliwość z jaką wjeżdżałam do grodu; przy migotaniu gazowych latarni niezadowolonym oczom przedstawiło się tylko kilka ciasnych uliczek, z których od razu wyjechaliśmy na plac obszerny; tam zaczęłam rozznawać jakieś kształty, lecz niestety, były to tylko kształty kramów; przybywałam w ciągu wielkiego, sześć-tygodniowego jarmarku, o którym wieść już nas dawno nastraszała, wtedy bowiem trudno o mieszkania. To też gdy na placu powóz zatrzymał się przed roziskrzoną bramą hotelu czyli tak zwanego *Domu angielskiego*, znalazło się już tylko jedno, ostatnie mieszkanie, na 3ciem piętrze zawieszono. Choć tak wyniosłe, siedlisko było wykwintnie wygodne; lecz sen w niem dla mnie przerywany i niespokojny; pilno mi do zaczęcia wędrówek po Gdańsku.

7 sierpnia.

Otóż i poranek i myśmy wybrani: idźmy na miasto.

W pierwszej chwili wydało mi się że zostanę zawiedziona w oczekiwaniach; nie mogłam się pomiarkować, czy jesteśmy w jakiej nowej części miasta? Domy wprawdzie dookoła cudne, ale tak starannie odmalowane, takie wyświeżone, jakby je przed kilką laty stawiano.

Dawniej wyobrażałam sobie Gdańsk w rodzaju naszego Starego-miasta, lub Norymbergi, z uliczkami ciemnymi, z domami noszącymi strój dziwaczny, lecz zniszczony i obszarpany, i aż obawiałam się że tak widoczna starożytność zatrze blask miasta, jak rdza zacierza blask stali.

A teraz, jakże pogodzić to wyobrażenie z owym grodem kwitającym od barw, światła i uśmiechów?

Po bliższym rozpatrzeniu się, z wielkim podziwem rozwiązujemy zagadkę: te świeżutkie na oko budowle, są to właśnie owe dawne, słynne kamienice, ale tak wzorowo utrzymane, że tam żaden brzeg muru nie

jest wyszczerbiony, żadnej rzeźbie nie brakuje członka, wszystko takim się pokazuje, jakim je chciał mieć pierwotny budowniczy, tém bardziej że Gdańszczanie, oprócz flamandzkiej dbałości o świeżość swoich domów, mają fanatyczne poszanowanie dla pamiętek. Przy częstych odnawianiu budowli, nie odważają się najdrobniejszego szczegółu zmienić ani naruszyć; zasługa to wielka dla estetyki i dziejów, tém większa, że budowa tych domów o ile jest piękna i ciekawą do obejrzenia, o tyle do zamieszkania najniewygodniejszą jaką można wynaléć.

O wszystkich niemal dawnych miastach podróżnik nabiera fałszywego pojęcia, bo je widzi w ich wpo-

praocjów, moglibyśmy dziś jeszcze z kamieni czytać domowe życie, najskrytsze myśli Peryklesów i Cyncynatów. Co za zdobycze dla sztuki, co za ułatwienie dla badań dziejowych! Ale zmienność smaku, ta nieunikniona córka postępu, chociaż niezawsze postępową, zaszła z wiekami zmiany w klimatach, a nade wszystko wojny i z nich wytryskające napływy nowych plemion, tak zakopały przeszłość pod teraźniejszością, tak ogolociły dawne gmachy dla przyozdobienia nowych, że dziś do zjawisk należy miasto takie jak Gdańsk, co skamieniał w blasku pierwszej swojej wiosny, niby krasna mumia motyla zabalsamowanego w bursztynie.



DOM ANGIELSKI W GDAŃSKU. (Rysował z litografii Podbielski).

zwaliskowej postaci; nie dziw że w nich dostrzega jakąś posepność i cmentarną wstrętność, którą dopiero wielki niszczyciel im nadał. A przecież w czasach swojej świetności te grody były równie ożywione, równie jaskrawe jak nasze najnowsze stolice.

To też gdy nam Gdańsk zabłysnął młody, wieczną młodością sztuki, rozradowałam się; uczułam że teraz dopiero będę mogła odtworzyć sobie w duszy obraz jego wspaniałości, nie potrzebując aby wyobraźnia zmieniała go lub dopełniała.

Gdyby mieszkańcy Aten, gdyby mieszkańcy Rzymu byli z taką religijną cześcią zachowywali mieszkania

otwartem widzieć całe życie domowe i towarzyskie tych bogaczy, z których każdy na swoim tarasie, jakby na ciągłej wystawie, gospodarował; tam się widziało wieczorem kupca, gdy wyszedłszy z ciemnego kantoru, z rozkoszą oddychał nadsłownym powietrzem; tam jego żona i córki, świeże jakby róża z mlekiem, zasiadłszy przy krośnach, zamorskim jedwabiem wyszywały wzory; często można tam było ujrzeć i polskiego pana, w błyszczącym kontuszu, z uroczystą postawą, jak przypląnawszy z daleka z pszenicą, siadł w głębi ganku na gotyckim krześle, a kupcy w koło niego uprzejmie się tłoczą i ucztę zastawiają na

Wyszedszy z hotelu, znalazłam się na wspaniałym placu: aby zrozumieć jego położenie, trzeba się zapoznać z planem miasta. Wzdłuż najożywieńszej jego części idzie kilka równoległych ulic, które stanowią właściwą postać Gdańska; są szerokie, jednak chodników nie mają, bo przed każdym domem panuje wielki, otwarty taras, najczęściej tak obszerny, że można cztery stoły na nim zastawić i wygodnie w kilkanaście osób zasiąść. Taras każdy otoczony jest balustradą, przeslicznie z kamienia wyrobioną, dość wysoką, jednak tylko tyle, ażeby stojąc można rozmawiać z osobami stojącymi na tarasach sąsiednich, od których ta jedynie zaporą przedziela; w każdej balustradzie rzeźbiarz wplótł dziwactwa swojej fantazyi: kwiaty nieistniejące na świecie, marynarskie godła zatopione w kracie kamiennego tataraku; w kilku miejscach dostrzegłam łabędzie z wieńcami na szyi; niekiedy zamiast glazowej, jest balustrada żelazna, bogato wycinana. Z tarasu schodzi się na ulicę po kilku stopniach kamiennych, a z dwóch stron spuszczające się poręcze żelazne spoczywają na dwóch kamieniach, w wykonanych zwykłych kształcie kul kolosalnych. Dom każdy wysoki lecz wązki, tak iż taras zajmuje całą jego szerokość i tylko przezeń można wejść do domu. Wszystkie tarasy, stykając się wzajemnie, tworzą po każdej stronie ulicy jeden niski lecz ogromny ganek; jest jakiś urok niby wschodni w tej postaci gmachów, którą Gdańszczanie dla siebie wyłącznie stworzyli. Można sobie wyobrazić jakie to życie miastu nadaje, a nade wszystko nadawało dawniej, gdy możne rodziny, zasiadłszy na tych gankach, połowę dnia na nich spędzały. Wtedy przechodzień mógł pod niebem

dębowym stole. A i ucza w Gdańsku niepodobna do krakowskiej ani wileńskiej; na srebrnych misach, wśród rynsztunku łusk i muszli cętkowanych, piętrzy się wykwintna gastronomia morza; nad misami, niby wieże nad miastem, szumią kielichy szklane, cudnie malowane w godła miejskich cechów i łacińskie napisy; w największych złoci się Tokaj, w miernych różowi się wina hiszpańskie, w małych sączy się drogie niby klejnot *Lacrima Christi*; czegoż tu okręty nie przywiozła? Ale między czarami jest jedna, kieliszeczek małeńki i skromny, nalany płynem bezbarwnym jak woda; przecież Gdańszczanin gościa najczęściej nim częstuje, a poczęstowawszy niecierpliwie czeka słów pochwały; na dzień tej czareczki wiruje czyste złoto....

Dziś nie wszystkie już rodziny spędzają życie na gankach; w wielu domach są na dole sklepy, co osamotnia tarasy; na wielu jednak można jeszcze widzieć po obiedzie towarzystwa siedzące z cygarami, wśród kwiatów i drzew pomarańczowych, którymi niejedną ganek jest obstawiony. Wieczorem, gdy mieszkańcy na wolne powietrze powynoszą lampy, gdy mlęczne bomby rozrzucają światło na te sztuczne gaje, na osoby obsiadające stoły, na przejrzyste lub morowe suknie kobiet, na porcelany i kryształy w których wre herbata, a nade wszystko na snycerskie oblicze domów, miasto wydaje się cudowną dekoracją wyjętą z teatru, którego sztuka jest przedsięwzięciem, a prawda aktorem. Powiedziałyśmy już nad wszystko występuje snycerskie oblicze domów, bo nie zapominajmy że tu tłem każdego obrazu, tłem całego miasta są kamienie wystrojone, wyzłocone, obdziergane w rzeźby, kolumny, popiersia i posągi. Przed każdą niemal można stać godziny i szkłem przybliżającym ją badać, a i tak pewnie jeszcze niejedną szczegółu uwagi widza ujdzie, bo w najmniejszym zakątku, na dachu nawet, tęczą się ozdoby wypieszczone jakby miano zblizka je oglądać; z każdej kamienicy, wysoko, wybiega na powietrze ryma w kształcie giętkiej szyi, zakończona głową smoczą, starannie z kruszcowej łuski wyrobioną; przy najwyższych kominach siedzą igrające potworki; wstęgi legendowych napisów, niby misterny obrąbek, obiegają haftowane mury; sumienność dawnych artystów i rzemieślników, tak jak wszystko w średnich wiekach, tchnęła prawdziwym fanatyzmem, czy to dla wiary, czy dla sztuki.

Zgadnicie jak te ulice muszą być szerokie, kiedy pomimo owych wielkich ganków, pozostaje droga dla kilku powozów; za to ci co idą pieszo, muszą się uwić w pośród kół i koni, i to po bruku nienajlepszym. Jeszcze w lecie jak w lecie; ale w zimie trzeba się dziwić zręczności Gdańszczan, a nade wszystko Gdańszczanek, tém bardziej że się przeslicznie stroją.

Te szerokie ulice są poprzecinane uliczkami niezmiernie wązkimi i ciemnymi. Tam już na domach mało przystrojów, dla ganków miejsca niema; jeśli się jaki zdarzy, to małeńki i obnażony, a przecież tak wiernie zachowujący kształt wielkich, wsparty o kamienne kulki, że wygląda na przedróżniający żart budowniczego.

I tak rysunek miasta przypomina tkacką robotę,

którę ulice szerokie byłyby wątkiem, a wązkie osnową. Ale między szerokimi jest jedna tak piękna, że podróżnik ledwie na wszystkie inne uważa; to owa słynna *ulica Długa (Lange-Gasse)*, całe właściwe miasto przerzynająca, najszerza i najstarsza ozdoba; tam wznoszą się domy najgęściej obsypane rzezbami, wszystkie prawie równej wysokości, zwykle pięciopiętrowej; tam panują najwspanialsze tarasy, najbogatsze sklepy i ruch nieprzerwany.

Na jednym krańcu zakończy ją starożytna wieża z bramą wjazdową; na drugim dopiero, po przebiegnięciu całego miasta, Długa ulica rozszerza się w plac zwany *Długim targiem (Lange-Markt)* i zamyka się bramą noszącą nazwę *Zielonej*. Ów targ a raczej ry-

pożerało przedmioty, ale przedmioty niby w mgłę się usuwały. Pierwszy widok miasta w którym każdy szczegół byłby godzien badania, jest zawsze chaotyczny; chciałoby się od razu wszystko zobaczyć, więc się niczego dobrze nie widzi. I my, idąc, powtarzaliśmy tylko: „leż razy trzeba nam będzie tu powrócić, aby dokładnie choć tę jedną ulicę poznać“

Strudzona dęszcem rzeźb, spuściłam oczy; wtedy mię uderzył widok pełen lubej estetyki: pod tarasami stoją tłumnie stragany pełne skarbów Flory; tam wzrok pływa w powodzi wiązanek złożonych z wielkich pstrych kwiatów, wspaniałych liści i puszystych trawek; całe stopy krągłych wieńców i wianeczków piętrzą się jak lekkie wieżyczki, a równianki grubo uwite i na łokcie sprzedawane, na słupkach tarasowych są rozwieszane, niby łańcuchy z klejnotów. Można sobie wystawić jak na surowym tle kamiennych gmachów, uroczym odbijają te świąteczne farby roślinności, i jak jej aromat orzeźwia miejskie powietrze.

Napiwszy się wonik kwiatów, przeszedłszy tam i napowrót całą ulicę, nastawiliśmy się przed głównymi domami, unużeni łokiem przedmiotów, wracaliśmy już ku mieszkaniu, gdy nas zaciekawił blizki widok *Zielonej bramy*; pytamy przechodnia: dokąd prowadzi? „Do Zielonego mostu“ odrzecz. „Jako?“ zawołałam z radością:

„Do zielonego

Mostu gdańskiego!“

Znów więc wróciłam do *Flisa*; chwila w której żeglarz wiślany, po tylu przygodach i trudach, dopływa do celu, jest najbardziej zajmującą w poemacie, a pierwszym przedmiotem co mu się u tego celu ukazuje, to ów most gdański, godło stalszych losów i odpocznienia. Ile razy marzyłam o tej podróży, zdawało mi się że Gdańsk powinien się od razu w postaci *Zielonego mostu* przedstawić; i teraz, gdy mam go tak blisko, choćspóźniona godzina, puszczamy się ku *Zielonej bramie*.

Brama tworzy gmach piętrowy taki szeroki, że cały plac z jednej strony zagradza; na piętrze znajdują się sale i komnaty historyczne, bo w nich mieszkali królowie polscy, gdy przybywali do Gdańska; na dole są dwie bramy dla jezdnych i pieszych; wszystko ciemno-zieloną farbą powleczone.

Zaraz za bramą płynie *Motława*, jedna z dwóch rzeczek Gdańsk przerzynających; na niej się wznosi, do dziś dnia jeszcze zielono malowany, ów most, mały, mogący się dla statków otwierać, zawsze peł-

nen ruchu; tam wiecznie przeciągają wozy ze zbożem, nieustannie tęczą się kupcy, robotnicy i flisy, bo za tym mostem na wyspie stoi ogromne, niezmierzone dla oka miasto śpichrzów, które *Motława* oddziela od miasta ludzi.

Przeszedłszy z rzewnym uczuciem most *Klonowicza*, wstąpiliśmy na wyspę do grodu rolnictwa; ale wrażenie jego jest odstrasające: owe rzędy budowli ogromnych a nieożywionych żadnym gwarem mieszkańców, pokrzyżowanych posępną siecią pruskiego muru, czarne okiennice, potworne windy, całe ulice milczące, wysokie i wyglądające jak szereg więzień, sprawiają nie tylko smutny, ale przykry widok; przechodząc nigdyby się nie domyślił że z tego ponurego siedliska



RATUSZ W GDAŃSKU. (Rysował z litografii Polkowski).

nek, obudowany domami jeszcze piękniejszymi niż gdziekolwiek, przedstawia przytém dwa najpięciwsze pomniki, dwa klejnoty Gdańska: *ratusz* i *dworzec Artusa*, dziś obrócony na *gieldę*.

Na tym to rynku znaleźliśmy się wyszedłszy z hotelu, który od placu trzy domy zajmuje; tu budowle są tak wązkie, iż ledwo połączenie trzech, tworzy nieco obszerniejsze siedlisko.

Długo uważa nasza była roztargniona przez ruch jarmarku, wrzającego właśnie w swą pełni; powozy ciągnące pomiędzy kramami, natłok przekupek, tłumy mężczyzn wychodzących z giełdy i kończących na placu narady, wszystko to z wrzawą towarzyszyło nam aż do ratusza, gdzie weszliśmy w ulicę Długą. Oko

tyłe dobrego bytu, wesołości i biesiad na świat się rozchodzą.

Po lewej stronie od wyjścia z Zielonej bramy, jeszcze przy tym brzegu Motławy, ciągnie się dziwna ulica na wodzie postawiona; jest to tak zwany *Długi most*, most nie rzucony przez rzekę, ale wzdłuż niej biegnący; domy tu aż w wodę się zanurzają, niby na weneckiej lagunie; aby więc można pod nimi przechodzić, wybudowany jest na palach pomost szeroki, tworzący po jednej stronie jakoby ogromny chodnik zawsze pełen gwaru, obstawiony kramami; przy nim ciągle się uwijają statki i berlinki, tak na Motławie natłoczone, że z trudnością można wodę dojrzyć. Pomost doprowadził nas do wpół warownej bramy, zwanej *Frauen-Thor*; musi to się znaczyć brama Panny Maryi, bo z niej dostaliśmy się w upleć uliczek, pomiędzy którymi jak granitowy kolos, jak ideał najsurowszego i najwspanialszego gotyku, wznosi się, piętrzy się, panuje, katedra gdańska, zbudowana pod wezwaniem Panny Maryi, uwieńczona wieżą wyniosłą jakby kamienny cyprys, przynajmniej widza rozmiarami swoich ciemnych murów.

Zmrok już zapadał; rzuciliśmy tylko okiem zdumionym na katedrę i usiłowaliśmy powrócić. Dużo czasu upłynęło zanim zdołaliśmy się wywikłać z labiryntu nieznanych uliczek; aż nagle znalazłszy się przed ratuszem, wróciliśmy do mieszkania.

Wieczór miłe uzupełnił wrażenia dnia tego; spędziliśmy go w gościnnym domu pana Makowskiego, szanownego ziomka, który od lat wielu osiedliwszy się w tym nadmorskim mieście, najlepiej i najuprzejmiej umie wskazywać bogactwa jego Polakom tam przybywającym.

Sliczny dom jego stoi na placu który ozdabiają dwa piękne gmachy; pierwszym jest gimnazjum niedawno postawione w bujnych gotyckich kształtach; drugi tylko tymczasowy, ale nadobnie zbudowany; był to gmach dla wystawy przemysłowej, uwieńczony stukolorowymi herbami i chorągiewkami różnych narodów.

W gronie rodaków, tak zamieszkujących mury Gdańska, jak przybyłych z kilku stron kraju, szybko upłynęły godziny; ale bo też było o czem mówić i co oglądać; komnaty, choć z nowoczesną wytwornością urządzone, pełne są szacownych pamiątek; portrety królów polskich wyborowego pędzla, starożytne sprzęty, zabytki sztuki, dawne księgi i rysunki kolejno uwagę zajmowały. Po wieczery wyprowadzono nas na ganek; tam z podziwieniem usłyszeliśmy wysoko na powietrzu przelatującą, dziwnie tęskną i przejrzytą melodię. Jak nas objaśniono, codzien o godzinie jedenastej w nocy, na wieży od kościoła św. Katarzyny, wprawny muzyk odegrywa pieśń rzewną na jakimś narzędziu dętym, którego tony mają jedwabną słodycz, a przecież taką siłę, że wśród nocnej ciszy rozlegają się na całe miasto.

Pod wrażeniem tej nadpowietrznej modlitwy wróciliśmy, powtarzając że wieczór dopiero uzupełnił dzienne wrażenia, bo podróżnik nie poznał oblicza grodu, póki nie odwiedził tego, który jest zwany polskim gospodarzem Gdańska.

8 sierpnia.

Wczorajsza przechadzka była tylko ogólnym rzutem oka na miasto; dziś wzywają nas szczegóły. Jest ich tu wiele. A najprzód idziemy do katedry, do której nas zaciekawił nie tylko profil w jakim nam wczoraj zabłysnęła, ale i chęć widzenia trzech słynnych przedmiotów sztuki złożonych w jej murach, mianowicie posagu Matki Boskiej, obrazu przedstawiającego *Sąd ostateczny* i krucyfiksu; o wszystkich trzech nieraz słyszeliśmy zadziwiające legendy.

Gmachy widziane w pomroce wieczornej, zyskują na rozmiarach, przybierają jakąś babilońską rozrośniętość; więc lękałam się aby katedra dzisiaj w dzień widziana, nie straciła na potęgę; przecież taki jest jej ogrom, że nawet w świetle południowej godziny nie drobniej; ale też i w najweselszym słońcu nie zdoła się rozweselić. Tę ponurość sprawia zupełny brak ozdób na zewnątrz budowli; myślę się, zupełny nie można powiedzieć, bo u samej góry jest prosta lecz piękna ozdoba, podobna do upleci z olbrzymich liści klonu; mury ponad dachem wycięte są w zęby trójkątne, a tych brzegi znowu wycięte w mniejsze ząbki; zresztą wysokie aż do przerażenia, obnażone aż do zasmucenia, ściany chmurzą się ową barwą tak cenioną od znawców, bo tylko pędzel wieków może ją nadać, barwą czarno-czerwoną, która przypomina tła na etruskich urnach.

Nie jest to ów gotyk przejrzyty, nadpowietrzny, pieśszony, przez którego szydełkową robotę widzisz lazur nieba; nie jest to kapłan, co na radosne święto przywdział perłowy ornat i otoczył się wieżyczkami podobnymi do diakonów obwieszonych w koronki; to pokutnik, co owinięty w grubą, ciemną odzież, siadł na kamieniu i kryjąc oblicze przed ludźmi, zakaptu-

rzył się liśćmi uszczkniętymi przy wejściu pustelniczej grotty.

Pod wieżą w srebrnym błyskotaniu kołyszą się owe wielkie dzwony, których głos tylokrotnie nas już zachwycił; nadane im na chrzcie imiona tchną różnobarwną poezją: *Sybilla*, *Ferialis*, *Gratia Dei*, a nakoniec straszny choć radośnie nazwany *Hozanna*, który tylko na hasło pożaru się robudza; ilość uderzeń jego rozbolełego serca wygłasza mieszkańcom część miasta w jakiej ogień wybuchnął.

Gdańszczanie z dumą opowiadają, że ich kościół co do wielkości jest piątym w chrześcijaństwie; nie wiem o ile twierdzenie ich jest prawdziwe, ale to pewne, że wysokością i szerokością przechodzi Notre-Dame w Paryżu, co jest niemało powiedzieć.

Wnętrze czyni także wrażenie wspaniałe, tém wspanialsze, że wszystkie trzy nawy są równiej wysokości: prócz nich po bokach prześwieca trzydzieści bogatych kaplic, powprawianych w koło świątyni, jakby klejnoty w koło mszalnego kielicha; wszystkie prawie kolejno stawiane przez możniejsze rodziny miejscowe. Ileż obrazów widziała każda taka kaplica, kamienna kronika każdej z takich rodzin! Tędy matka chrzestna, okazała mieszczanka, w chrześzczącej litiej sukni, w spiczastym nagłówku pochylonym od brabantkiego rąbka, niosła ku chrzcielnicy dziecię złożone na puchu i różowych atlasach; tu przed jarzącym ołtarzem niejedna modro-oka Polka, w sukni z indyjskiej tkanki, obwieszona kosztownościami, jak owa panna młoda z Kany galilejskiej co jaśnieje w obrazie Veroneza, niejedna podała rękę młodzieńcowi o stroju przepołowionym we dwa sprzeczne kolory, lekko brzęczącym dzwonekami. A co kilkanaście lat przybywał w kaplicy jakiś wizerunek z porfiru, jakiś złoty napis na czarnym marmurze, i głaz grobowy zapadał przy psalmodyi pątników i pątnic, których płaszcz naszyty muszlami zdawał się ubiorem stworzonym umyślnie dla mieszkańców nadmorza.

O ile katedra na zewnątrz się trzyma w lodowatej jednostajności, o tyle wewnątrz jej przepelnio się bogactwami; pomimo iż kościół przerobiono na protestancki, nowi wyznawcy przez uszanowanie dla przeszłości zachowali wielką część przyozdobień, i dziś jeszcze trudno by wyliczyć mnogość posążków, chorągwi i arabesków, jakie wędrowiec odkrywa na stallach, na filarach, w najmniejszym zakątku. Najbardziej olśniewającym jest przystroj wielkiego ołtarza; nieraz pewnie widzieliście i podziwiali monstrancye dzwigające kościółek ze złotego filigranu, w którym rozstawione figurki zachwycają swoją urodziwą małością. Otóż takie pieśdielekło złotnicze, powiększone do rozmiarów całej wysokości ściany, najwierniej wyobrazi ową ozdobę, której wielki ołtarz tworzy podstawę; jestto jakoby kilka-piętrowa fasada, wyłobiona w kapliczki, niszki i ganki, wszystko złotem nakrapiane; na każdym ganku, w każdej kapliczce stoją całe roty świętych i aniołów, także złotem od stóp do głowy oblanym, zbrojnych w złote palmy i złote harfy. To cała scena żywem z raj ujęta, po drodze z nieba do ziemi w słońcu umaczana i postawiona wśród ludzi, dla rozweselenia ich zalawionych oczu.

W zakrystyi pokazywano nam stopy dawnych ornatów, kielichy, kosztowności i różne sprzęty kościelne starannie przechowywane; lecz patrzyliśmy z rozlętnieniem, niecierpliwiby aby nam pokazano którą z trzech słynnych ciekawości. Więc przewodnik wprowadził nas napowrót do kościoła; tam pod jednym z filarów stoi posąg Matki Boskiej, o którym krąży następne podanie.

Był raz jednego młodzieniec: kiedy żył, z jakiej pochodził narodowości, podanie zamilcza; to tylko wiemy, że duchem pochodził z krainy ideału: był rzeźbiarzem. Mieszkał w Gdańsku; błogo musiały mu dni upływać w tym arcy-snyckim grodzie, gdzie artysta co krok spotykał wzory, co chwila zamówienie nowej pracy.

Ale oto w owym pogodnym poranku losów, cień jakiejś tragicznej tajemnicy pada na jego życie; oskarżony o zbrodnię, zostaje wtrącony do więzienia, sądzony i osądzony na śmierć.

Młodzieniec nie żałował życia; na widok niesprawiedliwości zalegającej ziemi, oburzona dusza rwała się ku światom jaśniejszym; jednak pozostał mu żal jeden, żal za najdroższem dłuć, od którego bezczynność więzienna go oderwała, żal że w zbyt krótkiej pielgrzymce nie upostaciował wszystkich myśli które mu przepełniały, rozsadzają duszę. Zanosz do sądu ostatnią, jedyną prośbę, aby mu raz jeszcze dostarczone gliny i narzędzi rzeźbiarskich. Sędziowie nie mieli serca odmówić skazanemu ostatniej pociechy. O smętna radość! O purpurowy promieniu zachodzącego słońca! Wraca lubo dłuć; artysta na kilkanaście godzin zapomina że to ostatnie godziny, po długim utęsknieniu porywa kielich sztuki, i pije z niego, pije aż do zachwy-

cenia, aż do upojenia, dumny że choć ludzie życie mu wydrą, nie wydrą nieśmiertelności, którą sobie wyrzeje w ostatnim dziele, w kamiennym testamencie. Wszystkie pomysły, a było ich bez liczby, jakie się tłoczyły do młodego ducha, zamknął w jedną postać; robota szła z gorączkową szybkością i powstał posąg Maryi z Dzieciątkiem na ręku.

Wtedy zdarzyło się że sędziowie przyszli raz jeszcze do więzienia. Po co przyszli, trudno wytłumaczyć; legenda naiwnie dodaje że pewnie się to stało z natchnienia Matki Boskiej, do której młody rzeźbiarz synowskie miał nabożeństwo.

Otóż sędziowie przyszli do więzienia, i pierwszym przedmiotem jaki ich wzrok uderza, jest figura niebieskiej Dziewicy. Spojrzeli na siebie wzajemnie z podziwieniem, znów patrzą na posąg, chcą coś powiedzieć i zamilkli; aż jeden z sędziów, głosem drgającym od wzruszenia, rzecze: „Nie, to być nie może aby ten człowiek spełnił zbrodnię! Tylko niewinny zdoła nadać posągom taki wyraz rajskiej niewinności. Bóg nie zsyła zbrodniarzom takich natchnień. To być nie może!“ I wszyscy sędziowie zawołali: „To być nie może!“ Wtedy jeden głos się ozwał: „Trzeba nam powtórnie przejrzeć sprawę.“

Stało się jak rzekli: sąd zasiadł po raz drugi, i oto przy troskliwszem zbadaniu okoliczności, przy odkryciu dowodów niedostrzeżonych dotąd, wyszła na światło boże, czysta jakby kryształ, niewinność rzeźbiarza.

Wtedy sąd się zrywa, uroczystym pochodem zdąży, otwiera na roście więziennych podwoje, lud zbiega się z okrzykami uniesienia, młodzieniec zabiera swoje dzieło, idzie przez miasto jak tryumfator, tém piękniejszy że tryumf jego nie skrzywdził nikogo, idzie do kościoła Panny Maryi i przed jej ołtarzem składa posąg swego ocalenia.

Zaiste, jeśli jakiś wizerunek może zwać się *cudownym*, to ten; czyż to nie cud prawdziwy, cud sztuki, aby martwa bryła mogła serca przemienić, prawdę wyjawic, niewinność obronić? Wielkie są zwycięstwa natchnienia!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORRESPONDENCYA.

Wydawca Tygodnika Ilustrowanego wkrótce ukończy druk **Kalendarza na r. 1862**. Liczne artykuły najrozmaitszej treści, ozdobione są drzeworytami. Dodany kalendarzyk świąt katolickich może być wyjęty i oddzielnie w pugilaresie noszony. **Cena Kalendarza złp. 3 gr. 10.** Szanowni prenumeratorowie Tygodnika z Cesarstwa, nadsyłając pod adresem wydawcy opłatę na Tygodnik, za dołączeniem *najmniej złp. 6 gr. 20, otrzymają 2 egzemplarze kalendarza.*

DZIEŃ ZADUSZNY.

Dnia 2 listopada każdorocznie przypada *dzień zaduszny*, zwany przez nasz lud pobożny *zaduszkami*, poświęcony pamięci zmarłych i modlitwom za ich dusze.

Nie masz bardziej rzewnego i smętnego obrazu, nad ten jaki przedstawia wtedy cmentarz powązkowski pod Warszawą, to miasto zmarłych, ludniejsze od stolicy Polski.

Z pomroka wieczorną krewni i przyjaciele zgastęj braci schodzą się tłumnie i oświecają grobowce i mogiły. Te migotliwe światelka lamp różnobarwnych, te mrugające świec płomyki, co rozświetlają dziwnie opoń nocną, te drzące cienie co się rozścielają po ziemi, tak podnoszą wyobraźnię, że zdaje się jakoby z mogił podlatywały duchy tych, co oddawna kośćmi swemi użyźnili tę nieplenną wydmy piaszczystą.

Cisza w okolo głęboka, zaledwie przerywana skrzypem piasku lub śniegu pod nogami przechodnia, czasem przytłumionym szepem modlitwy, jękiem zbolałej piersi, płaczem i łkaniem; szmer ten głuchy, nieraz z powiewem wiatru zmieszany, łączy się tu zgodnie w harmonią pełną niewysłowionego uroku. Po wielkiem tém grobowisku naszego miasta snują się za każdym krokiem, jak pajęczyna pól naszych, wspomnienia czepiające się każdej mogiły, każdego grobowca. Niemasz nikogo pomiędzy nami, coby tu nie miał spoczywających snem wiecznym krewnych i przyjaciół. Każdy też z przybyłych na cmentarz powązkowski, staje czy klęka u grobu drogiej dla siebie istoty, zapala lampę czy świecę i gorącą wznosi modlitwę.

Szczególniej wśród tłumu pobożnych zebranych tu w *zaduszki*, uderzą każdego postacie naszych zacnych

niewiast i starców. Poważne matrony, czczące z suchém okiem pamięć swych rodziców, mężów i zmarłej dziatwy; młode dziewice, co gorących łez sercowych powstrzymać niezdolne, tą rosą bożą skrapiają darń zwiędłą mogiły; obok starcy, co przeszli już drogę życia, niczego nie żądając i nie pragnąc od świata, jak tylko spokoju, jakiego używają ci, których już przytuliła do siebie święta nasza matka-ziemia.

Spojrzyj na ich postać, przy migotliwym blasku lamp i świec gorejących na grobach. Jedni zgarbieni wiekiem, wsparci na laskach, zwiędłe oblicza skrapiają łzami; drudzy, choć gołębią siwizną okryci, choć zmarszczki czoła ich porały w bruzdy, stoją prosto, jakby topole cmentarne. To starzy wojacy których wiek nie potrafił pochylić. Energia ducha podtrzymuje kruchą powłokę cielesną, a czas obchodzi takie postacie z uszanowaniem.

Niewielki już ich zastęp przychodzi tu na *zaduszki*, bo rok po roku dziesiątkowany, niedługo cały położy się w ziemi.

Kościół nasz przeznaczył dzień 2gi listopada na modlitwy za dusze wiernych. Modlenie się za umarłych jak w starym zakonie, tak też w kościele chrześcijańskim zawsze było we zwyczajach, czego mamy dowody w księgach starego i nowego zakonu, tudzież w pismach ojców świętych pierwszych wieków; dzień jednak osobny, jako wyłączny obchód, nie był wówczas wyznaczony. Dopiero pod koniec X wieku, najprzód w klasztorach klunaceńskiego zakonu, z rozporządzenia św. Odilona opata, w dniu tym nabożeństwo za dusze zmarłych uroczyste odprawiać zaczęto, a zwyczaj ten następnie do całego kościoła rozciągnięty został i w prawo się zamienił.

Wprzód po niesporach kończących nabożeństwo wszystkich świętych, odprawiają się zaraz z processją niespory żałobne. W sam dzień zaduszny z rana śpiewa się najprzód żałobna jutrznia, *egzekwiami* zwana, poczem następuje msza uroczysta i stosowna do obchodu nauka. Po niej rozpoczyna się żałobna processja, ze *stacyami* w kościele lub na cmentarzu, podczas której w kłiwych i żalonych śpiewach zebrani modły swe do Boga zasyłają.

Na stacyi pierwszej odprawiają się modlitwy za kapłanów, na drugiej za rodziców, na trzeciej za dobrodziejów, a na czwartej za dusze zmarłych, których ciała na cmentarzu miejscowym spoczywają. Po wejściu processji do kościoła, kończy się żałobne nabożeństwo modlitwami przy katafalku za wszystkich w ogólności wiernych zmarłych. Katafalk, który w dniu tym wystawianym zawsze bywa, jest wyobrażeniem grobu, i w czasie modłów przy nim odbywają się podobne obrzędy, jakby ciało zmarłego chrześcijanina na nim złożone było.

Cały ten piękny a rzewny obrzęd wyraża wymownie świętą troskliwość czulej matki-kościola o swoje wierne dzieci, o których i po za grobem jeszcze pamięta.

Lud nasz na całym obszarze dawniej Rzeczypospolitej, oprócz *zaduszek*, ma wyłączne obchody w dniach oznaczonych, w których modli się za dusze zmarłych.

W lubelskiej ziemi wieśniacy ruscy i polscy obchodzą uroczyste dni zaduszny. W wigilię gospodynie pieką pierogi i bułki pszenne, a uboższe placiki, które wieczorem łamią i rozdają domownikom do jedzenia, ale wprzód nad niemi gospodarz odmawia modlitwę za umarłych. Po spożyciu zbierają troskliwie szczątki i pozostałe pieczywo, i chowają wraz z bochenkami chleba przeznaczonemi dla dziadów żebracych i ubogich, którym je nazajutrz, czy w domu czy przy kościele, jako upominek za zmarłych oddają. Wierzą że w nocy z dnia wszystkich świętych na dzień zaduszny, dusze w czyscu będące i ratunku potrzebujące, patrzą na ich serca, na szczerość modlitwy i ofiary, a mając wolność wychodzenia, przybawiają rade do tych chat swoich, w których przebywały za życia, by swobodnie odetchnąć, popatrzyć z radością na domowe kąty, na rodzinę osieroconą i ulecieć z pierwszym blaskiem jutrzni, żeby za rok znowu, przez modlitwę i jałmużny, doznawać tej sercowej pociechy.

Liczne podania ludu tutejszego opowiadają, jak nieden z żyjących widział dusze zmarłych spływające z niebios, jak zasiadały za stołem, grzały się przy kominie, obchodziły wszystkie kąty i modliły się przed obrazem Boga-rodzicy.

Na starém Podlasiu ruscy wieśniacy nasi obchodzą cztery dni w roku, poświęcone pamięci zmarłych przodków, krewnych i przyjaciół, to jest: w wigilię Zielonych świątek, w zapusty przed wielkim postem, na wszystkich świętych i w wielkanocną sobotę, którą nazywają *upominalną sobotą*.

Na *wszystkich świętych* niosą rozmaitego gatunku jadła na cmentarze i te rozdają ubogim; z miską zaś w której znajduje się pieróg pszenny lub żytni

(w kształcie placaka), po trochu rozmaitej strawy a najwięcej kaszy jaglanej lub jęczmiennej gotowanej i jeszcze gorącej, wchodzi kobiety do cerkwi, stawiając ją na ołtarzu. Gdy kapłan tę ofiarę błogosławi, kobieta przystępuje do owej misy i mięsza łyżką gorącą kaszę, aby z niej wznoszącą się para zasilala te dusze, dla których poświęconą jest ofiara.

W okolicach miast: Łosic, Biały radziwiłłowski i Włodawy, w wspomnianą sobotę i w wigilię Zielonych świątek przyrządzają ucztę poświęconą zmarłym przodkom.

Gospodyni, skoro ją urządzi, przed czasem przeznaczonym do biesiadowania, nakrywa stół i stawia potrawy, ażeby dusze przez ten czas pożywać mogły. Gdy gospodarz z rodziną i czeladzią ma zasiąść za stołem, wzywa zmarłych w te słowa:

„*Przyjdź duszyczko do toho obida ubohoho.*“ Poczem odmówiwszy pacierze, zlewa na stół potrochu piwa i wódki, i rzuca cząstkę każdej potrawy w ofierze dla dusz zmarłych. Przed wstaniem od uczy, gospodarz odmawia z przytomnemi pacierze, a to co dla dusz zmarłych jeszcze zostało, zmiatają ze stołu na ziemię; poczem gospodyni izbę biesiadniczą wymiata czysto miotłą.

Na Białej Rusi, we wtorek po niedzieli przewodniej, zbierają się po południu wieśniacy i wieśniaczki na mogilki cmentarne w polu, około grobowców krewnych. Placząc, jaja czerwono malowane czyli kraszanki po ziemi tarzają, które potem zebrany żebrom i śpiewającym pobożne pieśni oddają. Na grobowcach zwykli rozścielać białe obrusy, na których stawiają gotowane potrawy. Zlewają mogiły wódką i miodem, przyczem zapraszają zmarłych na ucztę w tych słowach:

„*Światye radzicie! Chadzicie k nam chleba i soli kusać, staryje i małyje.*“ Po tém wezwaniu, sami do uczy zasiadają. Potrawy nie powinny być parzyste: zwykle ich pięć, siedm lub dziewięć bywa, i to bez polewki, zkad poszła nazwa na Białej Rusi *suchych wtorków*.

Na téj zastawie mogilnej muszą być koniecznie: miód, twaróg, bliny (rodzaj naleśników grubych z maki hreczanój), jaja, kielbasa lub wieprzowina wędzona. Sporządzają czasem jeszcze do tego jajecnicę, naleśniki, grzybek i mięso jakie pieczone.

Kmieć ubogi do bogatszych się udaje i ci go wspierają chętnie; co zostanie, oddają żebrakom. Po uczcie przewodniczący gospodarz odzywa się do zmarłych: „*Moje radzicie! wybaczajcie, nie dziwicie! Czem chat bohata, tem i rada.*“ Idą potem do karczmy, gdzie się ochoczko bawią. Ten obchód zowią *Radawnicą* lub *Radumicą*. Podobnych obrzędów ku czci zmarłych cztery jest w roku na Białej Rusi, ale ten bywa najświetniejszy. W jednych okolicach dopielniają go same kobiety, w innych i mężyczni ucześnieją.

Obchodzą też w kwietniu Radawnicę, kiedy ziemia *przeje*, i we wtorek po św. Tomaszu, kiedy według ich wyobrażeń rodzice zmarli z mogił oddychają ciepłem wiosenném. Wtedy, żegnając się z krewnymi, zwykli mówić:

„*Daj wam Boh lekko w zemli leżati i Chrysta w oczy widati.*“

Na Rusi Czerwonej obrzęd ten, zwany *Hailki*, opisał nam dokładnie Żegota Pauli. (Pieśni ludu polskiego w Galicyi. Lwów 1838 r.)

W pierwszy, drugi lub trzeci dzień wielkanocny, schodzi się lud po południu około cerkwi lub na cmentarzysto. Odprawiwszy modły, kładą najprzód potrawy na rodzinne groby, potem skupiają się dziewczęta, tworzą koło i stawiają jedną do środka. Zaczyna się śpiew albo wszystkich razem, albo stojącej we środku, której drugie tańcząc odpowiadają. Innym zaś razem jeden rząd dziewcząt, podniósłszy ręce do góry, za które się spletem trzymają, tworzy bramę, przez którą drugi rząd dziewcząt przechodzi; lub też jedna w środku będąca bije różgą wierzbową drugą uciekającą za kołem; czasem zaś stoją jedne dziewczęta na rękach drugich, robiąc rozmaite grupy i obrazy. Główną przyczyną jest rzeczą, że dziewczyna w środku stojąca rękami lub ruchami twarzy wszystko to pokazuje, co pieśń wyraża.

Tak np. musi pokazywać jak stare dziady i baby skaczą, jak parobczaki i dziewczęta tańczą. Pieśń opiewa że Roman ziele kopie, ale nie znając go, niesie je do gromady, która go do rąk nie bierze; niesie więc do drużyny dziewcząt, które od razu je poznały i zabrały, bo to był barwinek, godło nadziei i miłości. Kiedy pieśń zawiodła o krzywym tańcu, dziewczę w środku koła kuleje; gdy słowika pytają czy widział jako mak kopią, dziewczę odśpiewuje:

Oj! buwaw ja w tym sadoczku,
Ta skażu wam wsiu prawdoczku:
Oto tak
Kopajut mak.

Poczem pokazuje jak się mak kopie, jak się zbiera mięsza i t. p.

Przywiedziemy tu dwie polskie pieśni z *Hailek* galicyjskich.

I.

Dziewczęta, stojąc kołem, w środku stawiają jedną czarnooką, którą *ksienią* zowią, i zaczynają śpiewać:

Pomagaj Bóg ksieni!
Masz ty córek wiele,
Czy nie możesz jednej
Dać nam na wesele?

Stojąca w środku dziewczyna śpiewa:

Cóż to ludziom szkodzi,
Że mam córek wiele,
Ja nie mogę żadnej
Dać wam na wesele.

Kończy koło dziewcząt zabawę następnym śpiewem

Oj widzisz ty ksieni!
Twoja córka z nami,
Najjaśniejsza królowa
Stoi między nami.

II.

Jedna w środku stojąca udaje kulawą, drugie zaś około niej śpiewają na przemiany:

— Przyjechali do nas ludzie,
Matko nasza!
Przyjechali do nas ludzie,
Duszko nasza!

— Po co oni przyjechali,
Dzieci moje?

Po co oni przyjechali,
Duszki moje?

— Czy nie pójdziesz za którego,
Matko nasza?

Czy nie pójdziesz za którego,
Duszko nasza?

— Jakże oni wyglądają,
Dzieci moje?

Jakże oni wyglądają,
Duszki moje?

— Stary, stary, starusienki,
Matko nasza!

Stary, stary, starusienki,
Duszko nasza!

— Ja nie mogę już na nogi,
Dzieci moje!

Ja nie mogę już na nogi,
Duszki moje!

Podobnie śpiewają że głuchy, chromy, a na ostatku że młody, młody, młodzusiutki. Wtedy stojąca w kole dziewczyna odśpiewuje:

„Już ja mogę już na nogi,
Dzieci moje!

Już ja mogę już na nogi,
Duszki moje!“

i podskakując wychodzi z koła, a na jej miejsce wchodzi inna we środek.

Na Litwie uroczystość na cześć i pamięć zmarłych nazywa się dotąd *Dziady*. Obrzędy te już dziś straciły wiele na dawnym uroku i ograniczają się jedynie na uczcie i modlitwie.

W dniach 12 i 13 listopada zbiera się cała rodzina z domownikami do stołu zastawionego licznymi potrawami, gdzie pierwsze miejsce trzymają bliny, kielbasy, kwas, rosół z mięsa wolowego, pierogi, kasza gęsta i gatunek grzybka, stanowiący godowy wieniec. Gospodarz domu rozpoczyna modlitwę za dusze zmarłych, a gospodyni zapaloną gromnicę obnosi po trzykroć w około stołu.

Inaczej ją obchodzono w czasach młodości Mickiewicza. Posłuchajmy co mówi we wstępie do swego poematu.

„*Dziady*, jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej dotąd pomiędzy pospółstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandyi, na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim sięga czasów pogańskich i zwała się *niegdys ucztą koźla*, na której przewodniczył *koźlarz*, *huslarz*, *guślarz*, razem kapłan i poeta (geślarz). W teraźniejszych czasach, (r. 1821—25.) ponieważ światłe duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenieć zwyczaj połączony z zabobonnemi praktykami i zbyt częstokroć nagannym, pospółstwo święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach, niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie ucztą z rozmaitego jadła, trunków, owoców, i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim: w dawniej Grecyi za czasów homerycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i dotąd po wyspach Nowego-Swiata. Dziady nasze mają to szczególne,

z obrzędy pogańskie pomieszane w nich są z wyobra-
żeniami religii chrześcijańskiej, zwłaszcza iż dzień za-
guszny przypada około tej uroczystości. Pospólstwo

mawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji. Słucha-
łem bajek, powieści i pieśni o nieboszczykach powra-
cających z przestrogami, a we wszystkich zmyśleniach

W poemacie swoim wielki nasz poeta pisze, że
śpięwy obrzędowe, gusła i inkantacje, brał po
większej części wiernie z ludowej poezji. Żalować przy-



MOST KLONOWICZA (ZIELONY MOST) W GDAŃSKU. (Rysował z litografii Podbielski).

rozumieć, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi
ulgę duszom czystowym. Cel tak poważny święta, miej-
sca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, prze-

poczwarnych można było dostrzedz pewne dążenie mo-
ralne i pewne nauki gminnym sposobem zmysłowie
przedstawiane.

chodzi że ich w rodzimój prostocie nie zachował,
bo już obecnie zgasły w pamięci ludowej.
K. Wł. W.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 85.

- | | |
|--------------------------------|------------------|
| <i>Białe.</i> | <i>Czarne.</i> |
| 1) D 2 — A 5 † | B 5 — A 4. |
| 2) H 4 — E 7 | Jakkolwiek. |
| 3) A 5 — C 5 biorą † | D 6 — C 5 biorą. |
| 4) E 7 — C 5 biorą † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 409.

Redaktorze, nie schlebiaj każdej chwili, gdyby chorą-
giewka na dachu, goniąc upodobanie publiczności.

Gra szachowa

nowego wynalazku, na 100 polowej szachownicy.

Jeden z szachistów naszych na prowincyi, pan F.
Komorowski, przesłał nam nową kombinacją gry sza-
chowej, własnego pomysłu, z prośbą o jej ogłoszenie.

Szachownica przez p. K. projektowana, zamiast 64
jak dotąd, obejmuje 100 pól, to jest po każdej stro-
nie 10 w kwadrat. Figury pozostają te same, z tą
tylko różnicą, że po czterech rogach szachownicy usta-
wiają się 4 nowe figury, 2 białe i 2 czarne, zwane
bateriami, których kształt przedstawia załączony ry-
sunek; nadto przybywają z każdej strony 4 pionki,
to jest 2 w rzędzie właściwym, dla zapelnienia przy-
bywających pól, i 2 na środku przed tym rzędem,
na linii króla i królowej, które potrzebne są dla gam-
bitu i mogą być tak jak inne w pierwszym ruchu
posuwane o dwa pola naprzód.

Baterie biją w pięciu kierunkach po całych liniach,
jak wskazują działa na nich umieszczone, cofają się
zaś w trzech kierunkach pozostałych, w których nie
biją. Oprócz zwykłych poruszeń, baterie te, stojąc na
miejscu, mogą robić *zwroty* i *pół-zwroty*, a każdy ruch
taki uważa się za posunięcie. *Zwrotem* nazywa się
zmiana frontu bateryi w taki sposób, że działo jej
środkowe bije jak wieża; *pół-zwrot* zaś będzie wten-
czas, gdy działo środkowe bije w kierunku ukośnym,
jak laufer czyli giermek. Przy takich ruchach, dla
dokładności, gracz oznajmić powinien głośno: „bate-
rya zwrot,” lub „baterya pół-zwrot.” Zrestą gra cała
w niczem nie podlega zmianie.

Pan K. pomysł swój przesłał klubowi szachowemu
w Londynie, gdzie, jak nas zapewnia, dobre znalazł

przyjęcie, i już podobno kluby paryzki i londyński
grają z sobą takie partye dla próby.

Podajemy ten wariant lubownikom gry szachowej
jako nowość, której wartości nie doświadczyliśmy je-
szcze sami. Trudno w opisie słownym dać dokładne
o rzeczy wyobrazenie; kto by jednakże pragnął bliżej
z tą nowością się obznajmić, może to uczynić codzien-
nie między godziną 6 a 7 wieczorem w redakcyi Ty-
godnika, gdzie p. K. złożył do obejrzenia szachowni-
cę swojego pomysłu, wraz z figurami.

